

Rachael Lippincott

LISTA SZCZĘŚCIA

Tłumaczył Maciej Potulny

must read

Tytuł oryginału
THE LUCKY LIST

Copyright © 2021 by Rachael Lippincott
Copyright © 2023 for the Polish translation by
Media Rodzina Sp. z o.o.

Published by arrangement with Simon & Schuster Books
for Young Readers, An imprint of Simon & Schuster
Children's Publishing Division.
All rights reserved.

Cover illustration © 2022 by Poppy Magda, colagene.com
Cover design by Lizzy Bromley © 2022 by Simon & Schuster, Inc.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie
całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów
w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest
tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-044-0

Must Read jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład, łamanie i opracowanie polskiej wersji okładki
Radosław Stępniaik | **SRS** studio

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury.
Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, nabywasz książki
legalnie i nie udostępniasz ich publicznie, np. w Internecie.
Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz autorów
i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

*To dla Ciebie, Mamo.
Kocham Cię.*

1

Przyniosłam szczęśliwą ćwierćdolarówkę.

Nie wiem dlaczego. Setki razy przechodziłam obok, nie poświęcając jej ani jednej myśli, a dokoła niej zbierała się coraz grubsza warstwa kurzu. Jednak dzisiaj było w niej coś szczególnego, gdy tak leżała na półce, nietknięta od ostatnich trzech lat.

Mogłabym przysiąc, że tym razem naprawdę wyglądała jak...

Talizman szczęścia.

Wzdrygam się, gdy właśnie to słowo przychodzi mi na myśl, a zaraz po nim – niezawodnie – pojawia się wspomnienie błękitnych oczu i długich, brązowych włosów. Szczęśliwy los to coś, czym zawracała sobie głowę moja mama. Nie ja. Mimo to sięgam dłonią do kieszeni, żeby poczuć gładki metal, znaleźć znajomą szczerbę na krawędzi tuż nad głową George’a Washingtona.

– Ale będzie zabawa – szepcze do mnie tata.

Stoimy w kolejce po plansze. Tata obraca się. Obdarza mnie oślepiająco pogodnym uśmiechem, który działałby, gdybyśmy przez ostatnie trzy lata nie unikali absolutnie wszystkiego, co mogłoby nam o niej przypominać.

Prycham.

– „Zabawa” to niekoniecznie słowo, które miałam na końcu języka – odpowiadam także szeptem, jednocześnie rozglądając się po sali i starając się ogarnąć wzrokiem zoo, którym jest comiesięczna loteria charytatywna organizowana przez kuratorium oświaty obwodu Huckabee.

Upłynęło tyle czasu, a tu niemal nic się nie zmieniło. Mój wzrok prześlizguje się po dwóch starszych kobietach, pochłoniętych bez reszty zawziętą przepychanką o najlepsze miejsce przy głośniku, a potem zatrzymuje się przy stoliku Tylera Polanda z kolekcją kamieni ułożonych starannie według wielkości na pięciu zazdrośnie strzeżonych kartach z liczbami bingo.

Raczej „chaos”. Chaos jest lepszą nazwą tego, co tu się dzieje.

Ale nawet chaos towarzyszący przepychankom seniorerek czy dumnie prezentowanej kolekcji minerałów nie może odwrócić mojej uwagi od niezręcznego uczucia, jakie wywołuje moja obecność w tym miejscu. Zresztą nie bierze się ono jedynie stąd, że ta impreza miała szczególne znaczenie dla mnie i dla mamy.

Dla kogoś, kto przed trzema tygodniami podczas balu na zakończenie przedostatniego roku nauki wysadził w kosmos całe swoje życie towarzyskie, nie ma gorszego miejsca. Niestety, skoro wspomniane życie towarzyskie legło w gruzach, nie miałam ani jednej wymówki, dzięki której mogłabym się wykręcić od przyjaciół.

Z tatą nie mogę porozmawiać o tym, co się stało – ani w ogóle o niczym, no więc jest, jak jest. Stoję z miną winowajczyni niczym Hester ze *Szkarłatnej litery*, a tymczasem tata bezwstydnie traktuje wieczór bingo jak minizlot swojej klasy. Bo właśnie dzisiaj „przypadkiem” wpadnie tu jego najlepszy kumpel z czasów szkolnych, który po dwudziestu latach nieobecności wraca na stare śmieci.

Używam słowa „przypadkiem” w cudzysłowie, bo jeżeli ktoś chce wskoczyć od razu w środek nurtu życia towarzyskiego miasta Huckabee i zrobić to z głośnym chlupnięciem, to trudno o lepszą okazję. Bo wiesz, w tej sali wciąż znajduje się co najmniej połowa ich klasy maturalnej.

Raz w miesiącu duży hol pełniący funkcję stołówki w lokalnej szkole podstawowej zmienia się w miejsce grupowego castingu do jakiegoś dziwnego programu telewizyjnego, będącego połączeniem *Dziwnych uzależnień* z galą WWE *SmackDown*. Nie wierzysz? Kiedy byłam w piątej klasie, pani Long, najśłodsza na świecie przedszkolanka, prawdziwy anioł, przydzwoniła Sue Patterson w twarz, bo sądziła, że ta celowo nie wyczytuje żadnych liczb z grupy B.

Jeszcze bardziej niewiarygodne jest to, że miała rację.

– Idę po plansze dla Johnnyn’ego i Blake – oznajmia tata i wyjmując portfel, stara się ignorować moją sceptyczną minę. – Wiesz, jak trudno znaleźć wolne miejsce na parking.

Zachowuje się tak, jakbym ostatni raz była tu przed tygodniem, a nie trzy lata temu.

Wzruszam ramionami z taką nonszalancją, jaką tylko jestem zdolna z siebie wykrzesać, i patrzę, jak kupuje trzy plansze od pana Nelsona, wąsatego dyrektora gimnazjum, jedyne go człowieka, który cieszy się wystarczającym zaufaniem, by od dziesięciu lat wydawać plansze do bingo, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Przez sześć miesięcy toczono pełną emocji debatę podczas serii posiedzeń rady miejskiej, zanim w końcu zatwierdzono jego kandydaturę do pełnienia tej funkcji.

– Emily! Miło cię tu widzieć! – zwraca się do mnie pan Nelson, a w jego oczach widzę dobrze mi znany błysk współczucia.

W głębi duszy robię kwaśną minę. „Miło cię tu widzieć” odruchowo przekłada się na dowolną wersję uwagi: „Nie widzieliśmy cię tutaj od śmierci twojej mamy!”. Pan Nelson zaczyna wertować gruby plik plansz do bingo, po chwili wyjmując z niego niewielki, wytarty kartonik i mi go podaje.

– Chcesz planszę, którą tak lubiłyście z mamą? Numer pięćset pięć! Wciąż pamiętam!

Cierpnie mi skóra, kiedy przebiegam wzrokiem znajome załamanie papieru dzielące planszę na pół i w końcu zatrzymuję go na czerwonym kleksie w prawym górnym rogu, gdzie w wieku sześciu lat rozlałam poncz owocowy. Takich chwil najbardziej nie lubię – kiedy myślałam, że już w wystarczającym stopniu zaleczyłam rany

emocjonalne, a nagle taki drobiazg jak plansza do bingo podrażnia mnie do żywego.

Numer pięćset pięć.

Kiedy się urodziłam – piątego dnia piątego miesiąca – w przesądnym umyśle mamy zapaliły się wszystkie lampki niczym ozdoby na choince. Tego dnia uznała, że pięć jest naszą szczęśliwą liczbą. Piątka stała się nieodłącznym elementem naszego życia – dokładnie tyle razy musiałam szorować skórę za uszami, ten numer nosiły moje sportowe bluzy, kiedy pewnej wiosny próbowałam sił w dziecięcym softballu, a potem jesienią – w piłce nożnej. Widniała na ćwierćdolarówkach, które mama kładła mi na dłoni, szepcząc, że są szczególnie ważne, bo dwadzieścia pięć centów to pięć do kwadratu.

Szczególnie ważne ćwierćdolarówki potem zbierały kurz na półce. Aż do dzisiaj.

Kręcę przecząco głową.

– Nie, dziękuję.

Następuje długie, niezręczne milczenie. Tata zerka w moim kierunku i szybko wyjmuje z portfela jeszcze jeden pomięty banknot o nominale pięciu dolarów. Podaje go dyrektorowi Nelsonowi.

– Ja chętnie ją wezmę. Dzięki, Bill.

– Nie musiałeś tego robić – mamrocze półgłosem, kiedy się oddalamy.

Teraz pan Nelson odprowadza mnie jeszcze bardziej współczującym wzrokiem.

– To tylko bingo, Em – mówi tata, gdy idziemy najkrótszą drogą do pustego stolika i siadamy naprze-

ciwko siebie. – Ale możesz ją dać Blake, jeśli sama nie chcesz.

Jednak mówiąc to, spuszcza oczy i patrzy na plansze, unikając mojego spojrzenia.

Jakby sytuacja była nie dość niewygodna, z Johnnym ma przyjść jego córka Blake. Jeszcze nie wiem, co o tym myśleć. W dzieciństwie całkiem nieźle się dogadywa-
liśmy, ale nie widziałam jej od Gwiazdki wieki temu, kiedy niemal podпалиłyśmy mój dom, próbując zastawić pułapkę na świętego Mikołaja. Trudno byłoby teraz zacząć od tego rozmowę, zwłaszcza że już nie byliśmy ośmiolatkami o błyszczących niewinnością oczach, lecz właśnie zdałyśmy do ostatniej klasy liceum. Z drugiej strony, ona nikogo innego tu nie zna.

Z czego po dzisiejszym wieczorze zapewne będzie się cieszyć. Szczególnie jeżeli dojdzie do dramatycznych scen.

A raczej – o ile znam obecnych tu ludzi – kiedy dojdzie do dramatycznych scen.

Dobiega mnie śmiech i odruchowo zerkam nad ramieniem taty w kierunku stolika w kącie w głębi sali, przy którym dobrze mi znane długie palce właśnie przeczesują równie dobrze mi znaną niesforną grzywę brązowych włosów.

Matt.

Kiedy morze czujnych oczu odwzajemnia moje spojrzenie, czuję taki ucisk w żołądku, jakby ciężki balast przygniótł go do ziemi. Jake, Ryan i Olivia – paczka

moich byłych przyjaciół – wbijają we mnie wzrok z tak złowrogimi minami, że mogłabym pod ich presją przyznać się nawet do morderstwa pierwszego stopnia.

Domyślam się jednak, że po tym, co się stało na balu, wszystkie dowody wskazują, że byłby to... całkiem sprawiedliwy osąd.

Matt nie zwraca uwagi na mnie. Siedzi wpatrzony w blat stołu, skoncentrowany tak, że jego ciemne brwi łączą się u nasady nosa, a potem przesuwają ciężar ciała tak, żeby ostentacyjnie odwrócić się w przeciwnym kierunku. To z jakiejś przyczyny zdaje się milion razy gorsze niż mordercze spojrzenia.

Jestem zaskoczona, że tu dzisiaj przyszli. Latem zwykle przesiadywaliśmy na basenie miejskim po jego zamknięciu albo graliśmy w ping-ponga w olbrzymiej piwnicy w domu Olivii.

No, ale domyślam się, że przedtem tylko ze względu na moje uczucia nie chodzili na wieczorne bingo. Normalne letnie rozrywki beze mnie pewno właśnie tak wyglądają.

Odrywam od nich wzrok, gdy tata podsuwa mi pod nos planszę numer 505.

– Ja nie będę grać – mówię.

Sprawy już zaczynają się wymykać spod kontroli. Zatem przynajmniej o tym zdecyduje sama.

– No to może zagrasz za mnie? – proponuje i wysypuje ze styropianowego kubka czerwone żetony. Patrzę na deszcz plastikowych krążków układających się w mały

kopczyk. – Ale jeżeli ta plansza wygra, nagroda przechodzi na mnie.

Gapię się na niego bynajmniej nierozbawiona. Po co on w ogóle chce w to grać?

Ostatnio wciąż się tak zachowuje. Udaje, że różne sprawy nie mają znaczenia, chociaż oczywiście mają.

Pogadać o mojej mamie? Broń Boże.

Pozbyć się wszystkiego, co po niej zostało? Proszę bardzo.

Jakby nigdy nic wziąć udział w comiesięcznej loterii charytatywnej, na którą ona chodziła regularnie jak na mszę? Absolutnie tak.

– Zamawiam „Futbolowy zestaw kibica” – mówi, z żartobliwą egzaltacją puszczając do mnie oko, a tymczasem mama Olivii, Donna Taylor, przewodnicząca komitetu rodzicielskiego i w swoich czasach szkolnych królowa studniówki (krążą plotki, że dosłownie kupiła sobie oba tytuły) drobnymi krokami w końcu wchodzi na scenę.

Wiesz co? Dobra. Im szybciej zaczniemy grać, tym szybciej będę mogła stąd wyjść.

– W porządku! Wszyscy gotowi do startu? – rzuca Donna do mikrofonu i olśniewa zebranych wyćwiczonym uśmiechem stałej bywalczyni konkursów piękności.

– Jak jasna cholera! – krzyczy Jim Donovan siedzący dwa stoliki dalej.

Jego słowa wywołują falę śmiechu rozchodzącą się po całej sali.

– Jeszcze parę takich wrzutek ze strony Jima, a Donna wysze sobie cały botoks z warg – szepcze do mnie tata.

W kącikach jego ciemnobrązowych oczu pojawiają się drobne zmarszczki, kiedy drwiąco się uśmiecha.

Potrząsam głową, powstrzymując pierwszy tego wieczoru szczery śmiech.

W Huckabee istnieje dziwny rozdźwięk, którego najlepszymi przykładami są Donna Taylor i Jim Donovan. Donny różnej maści mieszkają w swoich masowo budowanych simsowych rezydencjach, a kiedy ich mężowie pracują od dziewiątej do piątej w mieście, one doglądają dzieci i pięć razy w tygodniu spotykają się z gangiem innych mamusięk na zajęciach pilates. Na drugim końcu spektrum znajdują się Jimowie Donovanowie, mieszkający kilka kilometrów na południe od miasta na farmach przekazywanych z pokolenia na pokolenie od czasów, w których Betsy Ross dopiero zaczynała kombinować przy projektach flagi amerykańskiej.

Mój tata jest nieco ogładzoną wersją Jima Donovana. Urodził się i wychował w Huckabee. Przed nim już cztery generacje posługiwały się nazwiskiem Joseph Clark. Ma to miasto we krwi tak bardzo, że prawdopodobnie rozpadłby się w pył, gdyby musiał przekroczyć jego granicę. To pewno dobrze dla Johnnynego, że wraca, bo w przeciwnym razie nie miałby żadnej szansy na spotkanie z tatą.

– Zajmiesz się w moim imieniu planszą Blake? – pyta tata, podsuwając mi po przekątnej stołu drugi kartonik.

– Mówisz poważnie?

Jak na kogoś, kto w ogóle nie chciał grać w bingo, szykowało mi się bardzo dużo skreślenia numerów.

– Za kilka minut tu będą – odpowiada roztargniony tata i wskazuje głową na swój poobijany telefon z pękniętym wyświetlaczem, na którym widnieje otwarty SMS od Johnnynego. – Właśnie znaleźli miejsce.

Ciśnie mi się na usta, że już raczej wołałabym podziwiać, jak stary, dobry Jim piąty raz z rzędu wygrywa konkurs przeciągania traktora podczas festynu rolniczego, ale powstrzymuje mnie swojski dźwięk żółtych piłeczek grzechoczących w bębnie. Unoszę oczy do sceny i przez chwilę dryfuję w przeszłość w morzu liczb oczekujących na wywołanie.

Dokładnie w tej sali nauczyłam się liczyć. Siedząc na kolanach mamy, układałam czerwone żetony na polach z cyframi i wykrzykiwałam, ile jeszcze pól potrzebujemy, żeby wygrać. Przychodziłyśmy tu z mamą, odkąd sięgam pamięcią, i niemal za każdym razem wygrywałyśmy. Upajałyśmy się zwycięstwem rozparte na tronie z wiklinowych koszy i celofanu. Mama zawsze twierdziła, że to dzięki planszy numer 505 i mojej szczęśliwej ćwierćdolarówce.

Plotkom nie było końca. Połowa ludzi podejrzewała nas o oszustwo, a druga miała nas za największe szczęściary w całym Huckabee, urok osobisty mojej mamy zaś sprawiał, że trudno było się długo na nią o to gniewać. Nawet gdyby ktoś chciał.

Kiedy szłam do sklepu po zakupy, zawsze zdarzało się, że ktoś pytał mnie o liczby do skreślenia na loterii.

Raz podobno pomogłam Paulowi Wilsonowi wygrać dziesięć tysięcy dolarów ze zdraпки przed obchodami święta Czwartego Lipca. A on wydał całą nagrodę tydzień później na patriotyczny pokaz sztucznych ogni, podczas którego stracił palec.

A potem – ukończyłam już czternaście lat – moja mama zmarła i całe szczęście, jakie kiedykolwiek mi dopisywało, przepadło jak palec Paula Wilsona.

Od tamtej pory unikałam tego miejsca niczym zarazy. Już nie mam ochoty próbować szczęścia, nawet w tak przyziemnych sprawach jak bingo.

Mimo to gdy Donna Taylor unosi żółtą piłeczkę, trzymając ją długimi paznokciami polakierowanymi na blady róż, czuję ten sam zew, który wezwał mnie, kiedy pan Nelson wyciągnął do mnie planszę z plamą po ponczu i zgięciem biegnącym przez środek karty.

Czuję się tak, jakby bęben z piłeczkami do bingo w mojej duszy za chwilę miał się przechylić i rozsypać zawartość.

– Pierwsza liczba dzisiejszego wieczoru... – mówi Donna do mikrofonu i zawiesza głos, bo grupa uczniów szkoły podstawowej siedzących trzy stoły bliżej sceny wybija rytm na werbelkach. Udaje mi się dostrzec Sue Patterson w kącie koło nich. Odmawia różaniec i kropi wodą święconą swój zestaw czterech plansz. – B dwanaście! – oznajmia Donna, wywołując radosne wiwaty niektórych osób i jęk rozczarowania innych.

Wyciągam rękę po żeton i nawet bez patrzenia wiem, że liczba znajduje się na planszy 505. Nadal umiem wyrecytować z pamięci wszystkie liczby w każdym rzędzie.

Całą planszę mam utrwaloną jak adres zamieszkania albo ulubioną piosenkę.

Waham się przez chwilę z dłonią nad stosikiem żetonów, bo widzę, że B-12 znajduje się też na planszy Blake. Przesuwając czerwone znaczniki, żeby zasłonić pola, zerkam na Jima Donovana. A on przygląda mi się, jakbyśmy stali w blokach przed sprintem na 100 metrów i walczyli o złoty medal. Odpowiadam mu twardym spojrzeniem rozbawiona, że nawet po tylu latach jestem brana pod uwagę jako poważna konkurentka. Wzbiera we mnie dawno zapomniany duch rywalizacji, który unosi kąiki moich ust.

Donna wywołuje kilka kolejnych liczb: I-29, G-48, B-9, O-75, I-23 oraz N-40. Powoli plansze zaczynają się wypełniać, a zaciekawieni zawodnicy wyciągają szyje, żeby porównać wyniki z innymi uczestnikami gry. Celofanowa folia okrywająca kosze z nagrodami na scenie pobłyskuje pod fluorescencyjnymi światłami.

Wpada mi w oko kosz z wiaderkiem popcornu i kartą rabatową o wartości 100 dolarów do zabytkowego kina w centrum miasta. Zawsze chodziliśmy tam z Mattem na randki i wybieraliśmy miejsca na samym środku widowni. Na myśl o Matcie płoną mi policzki, muszę się powstrzymywać, żeby na niego nie zerkać, chociaż wiem, że jest tuż za moim tatą. Fala wyrzutów sumienia sprawia, że wbijam wzrok w blat stołu, ostrożnie przesuwając czerwone żetony na właściwe miejsca, jeden po drugim.

– Widzisz, jak dobrze, że wziąłem więcej plansz? – zwraca się do mnie tata i energicznie wypuszcza z płuc powietrze, potrząsając głową. – Zaraz będę miał cały rząd.

Zerkam na jego planszę i widzę, że jakimś cudem udało mu się zaznaczyć tylko jedną liczbę.

– Ja cię kręcę – mówię ze śmiechem. – Jak to w ogóle możliwe?

– Kurczę, patrzcie no, Clark. – Zza mojego prawego ramienia dobiega czyjś głos. – Widzę, że wciąż nie umiesz liczyć.

Twarz taty się rozjaśnia, kiedy szczupła, opalona ręka Johnny'ego Cartera wysuwa się nad stołem, żeby mocno uścisnąć jego dłoń. Nie widziałam, żeby był tak podekscytowany, odkąd Zach Ertz obronił gola podczas meczu Super Bowl tamtej zimy, kiedy zmarła mama, i zapewnił tą obroną zwycięstwo drużynie Eagles.

Unoszę głowę i widzę, że Johnny wygląda niemal dokładnie tak samo, jak dziesięć lat temu, kiedy przyjechał na Święta. Przybyło mu jedynie kilka zmarszczek. Biała rozpinana koszula wisi luźno na jego wysokim, tyczkowatym ciele, a głowę wieńczy rozwichrzona czupryna włosów w kolorze brudnego piasku. Nosi nawet – bez cienia ironii – naszyjnik z muszelek i jakimś cudem wcale nie wygląda w nim głupio.

No, ale chyba możesz sobie na to pozwolić, gdy pół roku przed maturą spadasz na Hawaje, żeby tam zostać legendą surfingu.

– Hej, Em. – Zza moich pleców słyszę drugi głos i po chwili osoba, z której ust padły te słowa, płynnym ruchem siada koło mnie na ławce.

Zwracam szybko głowę w bok i widzę Blake.

Naprawdę spodziewałam się ujrzeć nieco wyższą wersję tamtej patykowatej siedmiolatki, która zawsze nosiła za duże T-shirty i sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, do czego służy szczotka do włosów, ale na pewno nie jest nią ta postać, która usiadła przy mnie.

Myślę, że śmiało można powiedzieć, iż Blake wygrała milion na loterii dojrzewania.

Jej opalona skóra ma głęboki złoty odcień, jakim nikt w Huckabee nie może się pochwalić nawet pod koniec sierpnia, a co dopiero w pierwszej połowie lipca. Jej włosy są długie, falowane, ciemniejsze niż taty, ale z identycznymi jasnymi pasemkami, jakby pobłyskiwały w nich promienie słońca.

Ale największe wrażenie robią na mnie jej oczy. Pod długimi rzęsami kryje się ciepły, niemal miodowy brąz. Dziesięć lat temu były ukryte za okularami o szklach większych niż cały Teksas. Teraz znajdują się na widoku.

Nie tylko ja to widzę. Dosłownie wszyscy zwracają głowy w kierunku naszego stołu. A więc to tyle, jeśli chodzi o niezwracanie na siebie uwagi.

– Mam twoją planszę – wypalam, orientując się dopiero po chwili, że nie odpowiedziałam na jej powitanie.

Wzrok Blake pada na kartoniki przede mną. Podsuwam jej jeden z nich – ostrożnie, żeby nie rozsypać żetonów.

Czy trzeba więcej wskazówek, żeby się domyśliła, iż od trzech tygodni jestem wyrzutkiem społeczeństwa?

– Dzięki – mówi Blake, uśmiechając się do mnie.

Szczelina między przednimi zębami to jedyna stała cecha łącząca dziewczynę siedzącą koło mnie z tamtą dziewczynką, której udało się mnie przekonać, że odpalenie sztucznych ogni w pokoju nastraszy świętego Mikołaja wystarczająco, żeby przyniósł nam obu kucyki pod choinkę.

– Jeszcze jedna liczba i będziesz mieć bingo w dwóch rzędach – dodaję, jakby to było nie dość oczywiste.

Słyszę, że Donna wyczytuje numer, ale w lewym uchu mam jedynie szum, a moje palce instynktownie zaciskają się na ćwierćdolarówce w kieszeni.

– Hej, szczęściaro! – Oczy Blake rozszerzają się z ekscytacji. Trzyma w ręce czerwony żeton, który ostrożnie kładzie na mojej planszy. – Tobie pierwszej się udało.

Bingo.